

# Dziewczyna z Oscarem?

„Dziewczyna z igłą” to koprodukcja duńsko-polsko-szwedzka, realizowana w łódzkich plenerach m.in. na Księżym Młynie i na błoniach na Retkini. Łódzka Orkiestra Kameralna zarejestrowała ścieżkę dźwiękową filmu, a postprodukcję obrazu i dźwięku wykonano w studiach w EC1 Łódź - Miasto Kultury. Polskim producentem jest łodzianin Mariusz Włodarski z Lawa Films, który współpracuje z Magnusem von Hornem od początku jego reżyserskiej kariery. W realizacji filmu uczestniczyło wielu specjalistów związanych z Łodzią. Na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych „Dziewczyna z igłą” zdobyła mnóstwo laurów m.in. Srebrne Lwy oraz nagrody w kategoriach: Najlepsze Zdjęcia (Michał Dymek) czy Najlepsza Scenografia (Jagna Dobesz).

## **Polska mnie zmienia**

Magnus von Horn przybył do Łodzi pod wpływem obietnicy, jaką to miasto stanowi dla młodych artystów. Obietnicy filmowej kariery, zaproszenia do tajemniczego, zimnego, czasami brutalnego, osnutego papierosowym dymem świata, w którym bogami byli Andrzej Wajda, Roman Polański czy Krzysztof Kieślowski. Wszyscy ukształtowani przez łódzką Szkołę Filmową.

Nawet jeśli Magnusa dzielą od nich dekady, to właśnie te nazwiska sprawiły, że zdecydował się porzucić rodzinną Szwecję dla Łodzi. Von Horn ostatecznie w 2013 roku ukończył tę prestiżową uczelnię i rozpoczął własną karierę. Snuje opowieści, które go poruszają, przekłada buzujące w nim emocje i uczucia na kinowe obrazy. I odnosi sukcesy. Trzy filmy, które do tej pory zrobił: „Intruz”, „Sweat” i „Dziewczyna z igłą” - trzy zaproszenia na festiwal w Cannes. Ostatni to horror rozgrywający się u schyłku I wojny światowej i tuż po niej. Polsko-duńsko-szwedzka koprodukcja jest bez wątpienia największym sukcesem urodzonego w ojczyźnie Ingmara Bergmana artysty. Jako duński kandydat do Oscara ma realną szansę na nominację. Rozbił bank na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni i podbija kolejne festiwale. Jednak „Dziewczyna z igłą” dla Magnusa von Horna to przede wszystkim osobista podróż. Długa i skomplikowana. Z czasem przerodziła się w historię o wielu znaczeniach.

**Jakub Marciniak: Stworzył pan film historyczny, którego akcja dzieje się w Danii, a który jest tak istotny dla Polaków dzisiaj. To rzadkie w polskim kinie. Czy to jest pana sposób na opowiadanie o współczesności?**

Magnus von Horn: Prace nad filmem dotyczącym dramatu matki, która musiała oddać swoje dziecko, trwały pięć lat. Na początku do robienia go bardziej prowokował mnie lęk o moje dzieci. Napędzała mnie myśl o tym, jak można opowiedzieć o tak okrutnych rzeczach. Jak nie zrobić z tego zwykłego horroru, a znaleźć tu dramat i emocje. Z czasem, gdy rozwijałem film, nabierał on znaczeń i zaczynałem widzieć dokładnie, o czym on jest - tego nie było widać na początku. Potrzebowałem czasu, by to nazwać. Widziałem w tym filmie również społeczeństwo, które zaczynało przypominać - w pewnym sensie - społeczeństwo, w którym żyję. Ja też się zmieniałem w trakcie kilku lat pracy. Od początku czułem, że to, co robię, ma dla mnie większe znaczenie dlatego, że mieszkam w Polsce. Moją motywacją nie była jednak potrzeba osadzenia w tu i teraz, byłem skupiony na tym, co czuję, narodowość nie miała znaczenia. Oczywiście Polska mnie też zmienia, mieszkam tu i jestem Polakiem, więc to również na mnie wpłynęło.

**Łączy pan społeczeństwa, języki i kultury - szwedzkie i polskie. Tutaj jednak mamy Danię. Skąd wzięła się potrzeba przejścia do innego świata, by o czymś opowiedzieć?**

Pomysł pochodził z Danii. Tamtejsza kinematografia na początku finansowała rozwój projektu. Poza tym to jest ważna historia dla Duńczyków, więc nie mogliśmy wyjąć tej opowieści z kontekstu. Wierzę, że im bardziej film jest zakorzeniony w jakimś społeczeństwie, im bardziej jest konkretny, tym bardziej staje się uniwersalny. Stąd bierze się bogactwo tego pomysłu: jest osadzony w konkretnym miejscu w konkretnym czasie. To mnie bardzo inspirowało, otworzyło mi oczy na tę historię. Ciekawe było dla mnie też, że to nie Szwecja, a Dania. Blisko, ale jednak inaczej. Mogę działać jako outsider i dzięki temu pojawia się zdrowa arogancja, która moim zdaniem jest potrzebna. Film wygląda jak wygląda, bo spora część ekipy jest „arogancka” – mój producent, autor zdjęć, montażystka nie są Duńczykami. Gdy Polacy robią film o Powstaniu Warszawskim, pewne rzeczy są dla nich szczególnie ważne. Kiedy film o powstaniu robi ktoś, kto nie jest Polakiem, może dostrzec coś innego, bo ta historia nie żyje z nim od urodzenia, on nie ma jej we krwi. Tak samo, myślę, jest tutaj. Ja i nasza ekipa inspirujemy się historią Danii, ale nie jesteśmy głęboko z nią związani.

### **Twórcy filmowi powinni być zatem jak najbardziej aroganccy. A jakie były reakcje duńskiej publiczności?**

Nie wiem, bo jeszcze nie pojechałem tam na pokazy. Ale też nie robiłem filmu dla Duńczyków. Szczerze mówiąc, nie robiłem go także dla Polaków. Myślę ogólnie, światowo. Film jest w stanie trafić do ludzi mieszkających w różnych częściach świata i w tym leży moc kina. Mam wrażenie, że moje filmy lepiej przyjmują się na świecie niż w kraju, o którym opowiadają.

### **Kręciliście w Polsce, również w Łodzi. Dlaczego? Chciał pan w ten sposób wrócić do miejsca, w którym pan studiował?**

Mieliśmy kręcić cały film w Polsce – żebym mógł pracować z moją polską ekipą oraz skorzystać ze wsparcia finansowego Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej. Film stał się polski, a to dla mnie ważne. Po drugie, tu lepiej się orientuję – mamy kontakty, wiemy, co i jak załatwić, a i ceny są niższe niż w Danii. Głównym powodem były jednak kwestie artystyczne. Mariusz Włodarski, mój producent, mieszka w Łodzi, wspiera to miasto, a ono nas. Kręciliśmy w hali w Szkole Filmowej, w starym atelier, w którym studenci już nawet nie chcą ćwiczyć. Tam filmy robili Kieślowski, Polański. To było ważne, bo ten film jest dla mnie osobisty.

### **To widać. Tak samo widać, że ważna pozostaje dla pana Łódź. Obserwuje pan, jak miasto się zmienia.**

Miałem burzliwą relację z Łodzią. Przyjechałem tu i doświadczyłem czegoś, czego nigdy wcześniej nie widziałem. Przeżyłem szok ekonomiczny i społeczny. Łódź wydawała mi się uboższa i bardziej zacofana niż miasta Szwecji. W Polsce panowała też większa ignorancja wobec drugiego człowieka – gdy przez okno pociągu zobaczyłem leżącego w rowie człowieka, byłem jedynym, który zainteresował się jego losem. Tu poznałem też przemoc – zostałem napadnięty przez kolegów chłopaka, któremu próbowałem pomóc. Chciałem jak najszybciej się stąd wyprowadzić i nie wrócić. Teraz wracam ciągle. Widzę w Łodzi miasto, które nieustannie się rozwija. Mam już z nią dorosłą relację. Kiedyś było to dla mnie bardziej egzotyczne. Łódź miała i ciągle ma na mnie mocny wpływ.

### **Na czym polega magia Łodzi?**

Czuję, że to jest bardziej kwestia ludzi. Nie wiem, na czym polega różnica wobec innych miast, ale jest tu coś prawdziwego... Kiedy jadę samochodem ulicami Łodzi i zmieniam pas trochę za szybko, łapię kontakt wzrokowy z drugim kierowcą i to spojrzenie się różni (śmiech). Czasami to jest fajne, czasem nie, ale zawsze o tym pamiętam. To miasto, które ma niezwykłą historię. Teraz próbuje

odzyskać swoją siłę. Od czasów mojego przyjazdu na studia zaszły tu duże zmiany, ale ta walka - trudna walka - ciągle trwa. Myślę, że Mariusz Włodarski ma o Łodzi dużo więcej do powiedzenia. On jest lokalnym patriotą, kiedyś zostanie prezydentem...

### **Mam nadzieję, że Łódź zostanie bohaterką kolejnych pana filmów.**

Była nią już wiele razy (śmiech).

### **Normalni ludzie?**

RECENZJA. Reżyser Magnus von Horn, pytany o to, co jest sercem opowieści w „Dziewczynie z igłą”, nie ogranicza się do pojedynczego toposu. Konsekwentnie ucieka przed sprowadzeniem swojego filmu do opowieści o aborcji, chce uniknąć zaszufladkowania go jako „ważny, polityczny”. Choć w polskim odbiorze „Dziewczyny z igłą” wątki aborcyjne urosły do rangi najważniejszego tematu tego obrazu, dla von Horna są tylko częścią szerszej opowieści o ludziach odrzuconych, wyklętych. Pisze Jakub Marciniak.

Film „Człowiek słoń” Davida Lyncha z 1980 roku otwierały niepokojące obrazy, niczym z innego wymiaru. Surrealistyczne, przywodzące na myśl raczej horror niż kostiumowy dramat. Jak Lynch, tak i Magnus von Horn śni swój koszmar, w początkowym ujęciu pokazując wiele twarzy, nachodzących na siebie, przenikających się, zdeformowanych, przerażonych. Potem tak jak Lynch przechodzi do świata namacalnego. Ale niepokojące wrażenie w widzu pozostaje.

To zaledwie początek podobieństw między tymi dwoma filmami. Von Horn udanie kreuje świat sprzed wieku: mroczny, naznaczony apokalipsą. Wydarzenia, które stały się pierwowzorem dla tej opowieści, rozegrały się w Kopenhadze (choć film powstawał głównie w Polsce, w tym wiele scen nakręcono w Łodzi). Ekranową rzeczywistość określają codzienne zmagania z konsekwencjami Wielkiej Wojny. Bohaterki von Horna żyją w slumsach, rozpadających się, obrzydliwych mieszkaniach. Ich jedynym sposobem na zachowanie czystości jest wspólna łaźnia, gdzie woda, piana, pot i krew mieszają się w odstręczającą breję. Do upadłego harują (nawet te w zaawansowanej ciąży) pośród stert warzyw, węgla, ładując kolejne towary. Kiedyś robili to mężczyźni, ale teraz ich nie ma. Pozostali starcy. Oraz tych kilku wysoko postawionych, eleganckich, którzy bogacą się na krzywdzie wszystkich dookoła.

Świat „Dziewczyny z igłą” to również świat deformacji fizycznej i moralnego spaczenia. Von Horn powołał nawet własnego Johna Merricka. Tu jest nim mąż głównej bohaterki, który powraca z wojny z potwornie okaleczoną twarzą. W cyrku pokazywany jest jako osobliwość - a z wielu innych filmów wiemy, że cyrk może być jedynym schronieniem dla odrzuconych przez społeczeństwo. Jednak to wśród „normalnych” ludzi należy szukać największego zepsucia.

Zapewne część widzów może uznać, że to film proaborcyjny. Pokazujący, że kobieta zasługuje na prawo do decydowania o swoim ciele, a za namowami osób trzecich do zachowania dziecka stoi jedynie chęć zysku lub uciszenia własnego sumienia. Patrząc jednak w ten sposób na obraz von Horna, niesłusznie zarzucilibyśmy mu dydaktyzm i łopatologię. Reżyser i współscenarzystka (Line Langebek Knudsen) nawet na moment nie zajmują jednoznacznego stanowiska i równie dobrze można znaleźć w ich historii argumenty antyaborcyjne. Opowieść jest skomplikowana i uniwersalna, a jej sednem - empatia i miłość do dzieci, lęk o to, co może się z nimi wydarzyć. W biednych warstwach społecznych Danii początku XX wieku nie było możliwości godnego wychowania dziecka. Stąd dramaty matek zmuszanych do oddawania synów i córek.

Von Horn, sięgając po rzeczywistą postać morderczyni Dagmar - która wykorzystuje kobiety w ich trudnym położeniu, mydli im oczy obietnicą lepszego rozwiązania, jeśli tylko donoszą ciążę i oddadzą jej swoje dzieci - kreuje złożoną metaforę i odziewa ją w naturalistyczną, a jednocześnie odrobinę baśniową stylistykę, ewidentnie korespondującą z wczesną twórczością nie tylko Lyncha, ale również Davida Leana i jego dickensowskim okresem. Fantastycznie wykorzystuje oświetlenie i charakterystyczną teksturę obrazu, która jedynie uwiarygadnia naturalistyczną formę. Skoro przywołujemy Leana, to w „Dziewczynie z igłą” znajdziemy również wpływy niemieckiego ekspresjonizmu, zwłaszcza w scenach przemocy wobec dzieci. Von Horn nigdy jednak nie poprzestaje na biernym wykorzystaniu sprawdzonych sztuczek, cały czas zachowując świeżość i własną perspektywę. Głównie poprzez skupienie na bohaterkach, które ciągle pozostają na pierwszym planie.

W interpretacji reżysera Dagmar to nie tylko psychopatka, ale przede wszystkim ręka systemu, który żywi się nieszczęściami maluczkich, oferując pozornie proste rozwiązania. Systemu, który w ogóle nie bierze pod uwagę najważniejszego - dobra dzieci. A historia ta nie wybrzmiałaby równie przejmująco, gdyby nie fantastyczna kreacja odtwórczyni roli Dagmar - Trine Dyrholm. Kreacja złożona, oparta na subtelnych, ledwo zauważalnych gestach, zwłaszcza w konfrontacji z Vic Carmen Sonne (tytułowa dziewczyna). Ich relacja jest równie przerażająca, co fascynująca - momentami matczyna, a kiedy indziej podszyta niewyjaśnionym erotyzmem.

Efektem jest piorunujący, zachwycający mariaż rozlicznych technik i stylów, owocujący wstrząsającą opowieścią, która poruszy każdego w inny sposób, odwołując się wprost do podstawowych zasad moralności, jak i najbardziej skrywanych, osobistych emocji.

**Jakub Marciniak**